



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Autonomia odzyskana: Stanisław Brzozowski i "Krytyka Polityczna"

Author: Krzysztof Uniłowski

Citation style: Uniłowski Krzysztof. (2008). Autonomia odzyskana: Stanisław Brzozowski i "Krytyka Polityczna". "FA-art" (2008, nr 1, s. 44-51).

© Korzystanie z tego materiału jest możliwe zgodnie z właściwymi przepisami o dozwolonym użytku lub o innych wyjątkach przewidzianych w przepisach prawa, a korzystanie w szerszym zakresie wymaga uzyskania zgody uprawnionego.



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Autonomia odzyskana: Stanisław Brzozowski i „Krytyka Polityczna”

Krzysztof Uniłowski

Śmierć i zmartwychwstanie inteligenta

W latach dziewięćdziesiątych z naszej sceny publicznej zniknął nie tylko Konrad, bo wraz z nim również polska inteligencja. Poczucie zwycięstwa oraz duma z uczestnictwa w „bezkrwawej rewolucji Solidarności” zbiegły się z przekonaniem o anachroniczności tradycyjnego „etosu”, który rozmiął się z neoliberalnym projektem. Dariusz Gawin przypomina, że swoista demobilizacja inteligencji nie była procesem samoczynnym, lecz sterowanym i kontrolowanym przez... liderów tej warstwy, którzy w iście makiaweliczny sposób wyzyskali – w chwili społecznego entuzjazmu – gotowość do samoposwięcenia: „Tylko poprzez odwołanie się do wspólnego etosu, do wielkiej tradycji inteligencji polskiej awangarda analityków symbolicznych mogła zaproponować inteligentkiemu ludowi dokonanie autodestrukcji, swego rodzaju ofiary całopalnej na ołtarzu pomyślności Polski”¹.

Złośliwe określenie inteligentkiej i wielkomięskiej elity mianem „awangardy analityków symbolicznych” powinno – wedle autora *Drugiej zdrady klerków*² – nasunąć czytelnikowi kompromitujące tę elitę skojarzenie z lenińskim modelem partii, a ponadto obrazuje jej przesunięcie na pozycje uprzywilejowanych funkcjonariuszy kapitalizmu w jego współczesnym, neoliberalnym, postfordowskim wydaniu. W opowieści Gawina to przesunięcie nosi wszelkie znamiona zdrady. Obciąża je „grzech” wyzyskania i porzucenia ogółu inteligentów, zdegradowanych do rzędu „pracowników budżetówki”. Zdegradowanych symbolicznie, ale w ślad za tym również – ekonomicznie i politycznie...

„Zdrada” to jednak cokolwiek tajemnicza. Trudno byłoby ją tłumaczyć wyłącznie interesownością elity, dążącej do uwłaszczenia w przestrzeni symbolicznej, do objęcia synekur związanych ze sferą mediów, reklamy, przemysłu kulturowego. Fundatorami polskiego kapitalizmu kierowały również



pobudki ideowe. David Ost przypomniał, że już w latach osiemdziesiątych polska opozycja polityczna w coraz większym stopniu odchodziła od tradycji lewicowych, przyjmując z gorliwością neofity ideały neoliberalne. Jego książka nie tłumaczy jednak, dlaczego tak się stało³. Chodzi zaś o zjawisko pierwszorzędne dla naszego życia publicznego w ostatnim dwudziestolecu XX wieku, które nie zostało dotąd objaśnione w satysfakcjonujący sposób. Na razie można się chyba zgodzić z Gawinem, że był to rezultat długotrwałej tendencji, lata zaś dziewięćdziesiąte, okres „budownictwa (neo)kapitalistycznego” w III RP przyniósł jej efektowną kulminację:

„Kluczem do zrozumienia dwuznacznego charakteru relacji łączącej awangardę inteligentką z inteligentkim ludem jest porzucenie przez tą [sic!] pierwszą grupę krytycznego nastawienia do kapitalizmu. (...) Proces odchodzenia awangardy inteligentkiej od idei socjalizmu i od immanentnej dla niej niechęci do kapitalizmu nie dokonał się błyskawicznie w okolicach 1989 roku, lecz trwał dość długo – począwszy od przełomu lat 60. i 70., a więc od momentu, gdy w wyniku szoku wywołanego wydarzeniami Marca '68 lewica porzuciła język rewolucji oraz konstytutywną dla jej świadomości dychotomię postęp – reakcja na rzecz języka praw człowieka oraz związanej z nim dychotomii totalitaryzm – demokracja.”⁴

Trzeba by jednak zapytać, czy „język rewolucji” w ogóle był do podtrzymania, i to nie tylko z uwagi na lekcję 1968 roku (w Polsce przecież zupełnie odmienną od doświadczeń zachodnich). Zawłaszczenie, a następnie kompromitacja tradycji lewicowej przez aparat partyjno-państwowy z czasów PRL, nie powinny przesłonić tego, że przemiany cywilizacyjno-społeczne w krajach zachodnich dość skutecznie ograniczyły atrakcyjność lewicowej narracji, opartej na obietnicy wyzwolenia od przymusu ekonomicznego i zniesienia alienacji. Ideowy kryzys lewicy wziął się z uwarunkowań zarówno lokalnych (jest oczywistym dziedzictwem klęski „realnego socjalizmu”), jak i globalnych. Skutkiem zaś tego kryzysu wizja społeczeństwa mieszczańskiego (z dominującą „klasą

średnią”) oraz gloryfikującego wolny rynek neoliberalizmu, z ich obietnicami ekonomicznej wydajności tudzież cywilizacyjno-kulturowej modernizacji, mogły się wydać propozycjami pozbawionymi poważnej konkurencji.

Pamiętajmy również, że „inteligentki etos” to obiekt fantazmatyczny, który – rzutowany w przeszłość – bywa wykorzystywany przede wszystkim do negowania tego, co aktualne. Kategoria ta łatwo i chętnie bywa kojarzona z utopią regresywną. Owszem, była niegdyś w Polsce, na początku XX stulecia, a jeszcze w Dwudziestolecu i w okresie wojny, inteligencja wierna swoim ideałom, później jednak uległa ona degeneracji. Zdaniem Agaty Bielick-Robson:

„Masowy awans społeczny odbywający się w czasach PRL i upowszechnienie szkolnictwa wyższego sprawiły, że inteligencja stała się w Polsce grupą dość liczną, raczej słabo wykształconą, świadomą wad, jakie oferował przyspieszony awans, niepewną co do jakości swej edukacji, ale mimo wszystko zdeterminowaną, by utrzymać swój wyróżniony status. (...) Od kiedy jednak pojawiła się w jej myśleniu dominanta ekonomiczna, poczucie jedności z ludem znacznie w niej zmalało.”⁵

Od razu powiem, że generalizację Bielick-Robson uważam za bezpodstawną, lekceważący zaś stosunek do inteligentów „z awansu” wydaje mi się podszyty w równym stopniu niechęcią do PRL, co resentymentami współczesnego nauczyciela akademickiego, który na zajęciach spotyka i takich studentów, co nigdy nie powinni pojawić się w murach uniwersytetu, wszelako skorzystali z decyzji o upowszechnieniu studiów wyższych na taką skalę statystyczną, o jakiej zarządcy Polski Ludowej nigdy się nie śniło. W przytoczonym fragmencie intryguje mnie jednak moment, kiedy romantyczna wizja powinności inteligenta zastąpiona została i wyparta przez „dominantę ekonomiczną”, skłaniającą do postaw partykularnych i egoistycznych. Jest to (znowu) moment wielce tajemniczy, bo przecież Bielick-Robson nie tłumaczy, skąd się wziął przymus myślenia w kategoriach ekonomii. Bez względu



jednak na przyczyny, chodzi o ważną sprawę. Nie tylko sama elita, bo także duża część – jak to raczył określić Gawin – „inteligentkiego ludu” zgłaszała gotowość do rezygnacji z dotychczasowego statusu i przeobrażenia się w przedstawicieli „rodzącej się klasy średniej”. Jeśli zaś tak, to zamiast dramatycznej i tragicznej „zdrady” elit, mieliśmy raczej do czynienia z komedią samooszustwa, zasadzającą się na przekonaniu, że można zostać filistrem i zachować wierność „etosowi”.

Epicką ilustrację takiej tendencji społecznej znajdziemy w powieści Dawida Bieńkowskiego *Nic*. „Już tak miałem dość tego »Bądź wierny. Idź«... i piętnastu Henryk Kostrzew”⁶ – tak główny bohater tłumaczy swoją przemianę z nauczyciela w menadżera. Zasadniczą motywacją było przekonanie o anachroniczności etosu i bezużyteczności nauczycielskiej pracy. Nie chodzi tylko o marne zarobki, lecz także o poczucie, że nauczyciel nie ma do zaproponowania uczniom niczego, w czym społeczeństwo upatrywałoby pożądanych cech i jakości. Zresztą także w nauczycielskim pokoju bohater czuł się wyalienowany, bo i tam nikt nie był zainteresowany rozmową o inteligentkim etosie czy bodaj autorskich programach. Praca zaś w międzynarodowej korporacji – przeciwnie – oferowała poczucie działania na rzecz modernizacji kraju, „nadrabiania dystansu” wobec Zachodu, co przecież łatwo było uzasadnić również z punktu widzenia inteligentkiego kodeksu. Tyle że wymagało to przymknięcia oczu na różnicę między regułami biznesowymi a etyką obywatelską, między francuską tradycją kulturową (także kulinarną) a kartą dań w masowej jadalni typu *fastfood* – na tym też polegało samooszustwo bohatera. Pominę tragiczne konsekwencje fabularne takiego wyboru, bo i tak widać doskonale, że autor przedstawia decyzję Lenarta jako „zdradę”, dezercję, przyzwolenie i współuczestnictwo w wielkiej manipulacji społecznej. Jakkolwiek w powieści Bieńkowskiego sporo niekonsekwencji i nieprzemyślanych decyzji artystycznych, jakkolwiek chodzi o dzieło spóźnione, które nie wykracza poza horyzont sformułowanych wcześniej diagnoz i które w konsekwencji

obraża się w niezamierzony pastisz literatury krytycznej, to jednak wydaje mi się ono wielce symptomatyczne. Sugeruje bowiem, że teza o dezercji i samolikwidacji inteligencji stała się po dziesięciu z górą latach polskich przemian dość szeroko przyjmowanym i akceptowanym banałem.

Nie bez powodu w pierwszym numerze swojego pisma redaktorzy i współpracownicy „Krytyki Politycznej” pytali właśnie o współsprawstwo i odpowiedzialność inteligentów za negatywne zjawiska z lat dziewięćdziesiątych. Co jednak najciekawsze, konkluzje nie brzmiały wcale minorowo. Bez względu na zawinione i niezawinione zaniechania, inteligentką misję uznano za nieprzedawnioną. Trzeba też dodać, że jeśli w roku 2005 Dawid Bieńkowski wystąpił w swojej powieści ze swego rodzaju prawicową pedagogiką społeczną, wytykając inteligentom, iż porzucili zadanie stróżowania narodowej wspólnoty, to środowisko „Krytyki Politycznej” od początku wiązało inteligentność z tradycją lewicową. Prawda, że pierwsze numery warszawskiego pisma nie były tak jednoznaczne pod względem ideowym jak kolejne, że w najwcześniejszym okresie „Krytyka Polityczna” deklarowała zamiar prezentowania rozmaitych stanowisk, rolę zaś redakcji ograniczano do troski o właściwy poziom intelektualny i merytoryczny. Za przełomowy uznałbym dopiero numer szósty, z drugiej połowy 2004 roku, który otwierał polityczny manifest Sławomira Sierakowskiego (co ciekawe, pierwotna wersja tekstu ukazała się na łamach „Gazety Wyborczej”).⁷ Dopiero w tym zeszycie nawiązano wyraźnie, acz krytycznie, do dziedzictwa 1968 roku na Zachodzie, podjęto hasła rebelii i rewolty. Bezpośrednim impulsem były wydarzenia z 7 maja 2004 roku w Krakowie, kiedy bojówki narodowej prawicy, przy dwuznacznej postawie policji, zaatakowały demonstrację zorganizowaną przez środowiska działające na rzecz równouprawnienia homoseksualistów. Czynnikiem dynamizującym pismo była również współpraca z krakowskim „Ha!artem”. Warto dodać, że świadomie lub przypadkiem redakcja nie oznaczyła tego numeru „Krytyki Politycznej” żadną cyfrą ani datą. Na okładce pojawiły



się za to hasła „czas zadymy” oraz „rewolucjonizm”. Przy zmianie graficznego dizajnu wszystko to razem czyniło z szóstego w kolejności zeszytu „Krytyki Politycznej” wydanie „zerowe”, wyznaczające ideowy charakter pisma na kolejne lata.

Wróćmy jednak do pierwszego numeru (nawiasem mówiąc, najbardziej konwencjonalnego czy wręcz zachowawczego pod względem graficznego opracowania). Skłonność do ujmowania inteligencji jako formacji, którą określa (lub powinno określać) społeczne zaangażowanie pojęte na sposób lewicowy, można zauważyć choćby w przewodnim materiale zeszytu, jakim była rozmowa Aleksandra Pawlickiego i Sławomira Sierakowskiego z Andrzejem Walickim. Wśród pytań skierowanych do bohatera wywiadu znalazła się i taka myśl: „Może nie warto upowszechniać w Polsce modelu inteligenta zdystansowanego? Jeśli ktoś pragnie zostać kimś takim to trafi do owego zakonu [»zakonu« intelektualistów – przyp. K.U.]. A tymczasem etosem wartym podtrzymywania jest etos społecznikowski...”⁸ Być może chodziło o to, by sprowokować interlokutora, który deklarował się jako stronnik klerkizmu. Łatwo jednak zauważyć, że Pawlickiego i Sierakowskiego wielce niepokoi ten rys postawy klerkowskiej, który Walicki uznał za jej cechę konstytutywną. Chodzi mianowicie o „dystans wobec różnych idei”⁹, który rozmówcom historyka kojarzy się z relatywizmem, a nawet konceptem „liberalnej ironistki” Rorty’ego:

„(...) z klerkizmem związany jest zawsze pewien relatywizm (...). Mamy więc powiązać klerkizm z mannheimowską tezą głoszącą, że aby być prawdziwym inteligentem, trzeba umieć się dystansować wobec wszystkich idei? Czy może być klerkiem ktoś, kto nie jest liberałem podobnym do Rorty’ego lub Rawlsa?”¹⁰

Ciekawe wnioski nasuwa porównanie przywołanego tu wywiadu z późniejszym o pięć lat artykułem Sierakowskiego *Pogrzebani żywcem*¹¹. Otóż redaktor naczelny „Krytyki Politycznej” powtarza czy nawet przywłaszcza sobie szereg twierdzeń Walickiego, podaje te same przykłady i cytaty, do których niegdyś sięgnął jego rozmówca. Dotyczy to szczególnie inteligenckiej genealogii i historii. Jednocześnie Sierakowski wystrzył przeciwstawienie inteligenta i klerka, w sposób jednoznaczny łącząc tego pierwszego z tradycją lewicy: „Coś musi być jednak na rzeczy w kwestii bliźniaczego pokrewieństwa między inteligencją a lewicowością, skoro oba te zjawiska w ostatnich czasach popadły w głęboki kryzys”¹². I dalej: „Inteligencję definiowała odpowiedzialność za postępek społeczny. Przekładająca się na etyczny obowiązek identyfikowania się z interesem najsłabszych oraz poznawczy obowiązek intelektualnego rozwiązywania problemów stojących przed państwem i społeczeństwem. (...) z tych obowiązków polska inteligencja wywiązywała się dzielnie. Najlepiej wtedy, gdy zagrożony był nie tylko byt społeczny, ale i państwowy. (...) Zazwyczaj kryzys przychodził po wyzwoleniu. (...) Ci, którzy wcześniej byli tak czujni i roztropni, stawali się łatwowierni i naiwni, tracąc z oczu swój inteligencki obowiązek stania przy słabszym.”¹³

W konsekwencji wycofywali się również na upatrzone i bezpieczne pozycje klerkowskie. Tę skłonność do przedwczesnej demobilizacji tłumaczyłbym jednak zupełnie inaczej. Trudno byłoby się zgodzić, że „po wyzwoleniu” inteligenci dziecinnieją na mocy jakiegoś zaklęcia, łatwowiernie i naiwnie ulegając syrenim pieśniom o urokach kapitalistycznego porządku. Wynika to raczej stąd, że inteligencki ogół rozumie swoją powinność jako troskę o dobro społeczno-narodowej **wspólnoty**. Czuje się więc bezradny wobec antagonizmów

wewnętrznych. W sytuacji społecznych konfliktów dążymy do ich rozwiązywania poprzez mediację oraz odwołanie do idei dobra wspólnego, a w wypadku niepowodzenia – usuwamy z pola widzenia albo konflikty, albo samych siebie, rozczarowani tym, że istnieją grupy i warstwy społeczne, które nie potrafią zrozumieć, że muszą zostać (przejściowo) obciążone kosztami przyszłego ogólnospołecznego i ogólnonarodowego sukcesu. Wbrew Sierakowskiemu skłonny byłbym twierdzić, że lewicowość polskiej inteligencji była na ogół dość mglista i utopijna, zaś hołubiona przez nią idea społeczno-narodowej wspólnoty otwierała ją na wpływy prawicy. Skoro jednak, zdaniem naczelnego „Krytyki Politycznej”, lewicowość jest niezbędnym i kluczowym składnikiem inteligenckości, to nic dziwnego, że dla reanimacji polskiej inteligencji konieczne wydało mu się zaszczepienie jej na nowo lewicowych właśnie ideałów. Charakterystyczne również, że jednej z głównych przeszkód Sierakowski upatrywał w tradycji klerkowskiej oraz późniejszych projektach, zalecających chłodny, intelektualny dystans wobec idei, aż po współczesną Rortiańską propozycję ironii. W tym punkcie już bardzo wyraźnie rozchodziły się drogi Sierakowskiego i Walickiego, który najpierw tłumaczył różnicę między klerkizmem Juliana Bendy a koncepcją Mannheima, by następnie w tych słowach opisać społeczną użyteczność intelektualnej niezależności, a jednocześnie – ambiwalencję takiej postawy:

„Mannheim zakładał, że prawda jest zawsze historycznie uwarunkowana, a intelektualista, właśnie dzięki swemu wyobcowaniu, może zrozumieć istotę konfliktów i wyjaśnić tym zaangażowanym w walkę siłom społecznym, jak przetłumaczyć ich racje na język bardziej rozumny, uwolnić je od emocji i ciśnienia ideologicznych tradycji.

Oczywiście można spytać, dlaczego ten intelektualista jest niezależny wobec życia – to jest wielka problematyka Stanisława Brzozowskiego. Tę niezależność okupuje on swoją alienacją, nie zidentyfikowany z żadną ze stron i dlatego może zrozumieć wszystkich.”¹⁴

Wszelako dla środowiska „Krytyki Politycznej” Stanisław Brzozowski okazał się ważny jako postać legitymizująca społeczne oraz ideologiczne zaangażowanie¹⁵. Z drugiej strony, szczęśliwie nie zrezygnowano zupełnie z troski o niezależność. *Noblesse oblige*, a przecież wspomniany patronat został sformalizowany w roku 2006, kiedy utworzono Stowarzyszenie im. Stanisława Brzozowskiego, na czele z Sierakowskim. Poczynając od numeru 11-12, sygnowanego „zima 2007”, stało się ono wydawcą „Krytyki Politycznej”¹⁶.

Dążenia do wydobycia lewicy z intelektualnego marazmu oraz działania na rzecz inteligenckiego odrodzenia stanęły zatem wobec dwóch zadań. Po pierwsze, należało nie tyle wybrać zaangażowanie przeciwko dystansowi, lecz określić swoją postawę jako dialektyczną grę tymi dwoma biegunami. Właśnie w tej kwestii szczególnie istotne okazały się doświadczenia nowoczesnej literatury, w tym – lekcja Brzozowskiego. Po drugie, należało poradzić sobie ze sprzecznością między partykularnym a uniwersalnym. Jako pismo lewicowe „Krytyka Polityczna” odniosła się dość nieufnie do idei decentracji, heteronomiczności, wielości. Jeśli upominała się o wykluczonych (ekonomicznie, kulturowo, obyczajowo), to nie w imię różnicy, lecz... lewicowego uniwersalizmu. Odnowienie nowoczesnej dialektyki wymagało zaś „przewyciężenia” postmodernizmu, co mogło się wydawać szczególnie trudnym zadaniem. Za przewodników warszawskie środowisko wybrało sobie tutaj przede wszystkim Alaina Badiou oraz Slavoją Žižka. Ale po kolei...

Lekcja literatury ze Sławomirem Sierakowskim



Sądzę, że wciąż niedostatecznie podkreślamy, jak ogromne znaczenie dla życia literackiego lat dziewięćdziesiątych miała postępująca deklaszacja i deprywacja inteligencji. A przecież to właśnie do publiczności z tego kręgu zwracali się dotąd w pierwszej kolejności pisarze. Inteligencja była grupą uprzywilejowaną symbolicznie, była nosicielem dominującej świadomości estetyczno-ideowej, określała wzory uczestnictwa w kulturze. Z drugiej strony, poczucie estetyczno-ideowej wspólnoty z czytelnikami sprawiło, że w polskiej literaturze nowoczesnej postawy subwersywne zaznaczyły się na mniejszą skalę niż w zachodnim modernizmie. Wydaje się zresztą, że twórcy traktowani jako rebelianci są chętniej akceptowani przez publiczność inteligentką niż mieszczańską. Ta pierwsza bowiem pozostawała mniej wrażliwa na mechanizm prowokacji, natomiast dużo chętniej wystąpienia twórców-prowokatorów objaśniała jako niezbędną korektę świadomości kulturalnej, polegającą na problematyzowaniu reguł i zasad określających tę świadomość.

Zakładano, że w wyniku przemian po roku 1989 kluczowe miejsce w systemie społecznym zajmie klasa średnia, uzupełniona przez tych inteligentów, którzy przedzierzgną się w warstwę „białych kołnierzyków”, profesjonalistów-ekspertów i menadżerów średniego szczebla. Do takich właśnie czytelników trafić miały z kolei „powieści dla klasy średniej”, „proza srodka”, utwory, traktowane jako odnowione i unowocześnione „powieści mieszczańskie”. Czy rzeczywiście sięgali po nie przedstawiciele „rodzącej się klasy średniej” – rzecz dyskusyjna. Czytelnikami Olgi Tokarczuk, Stefana Chwina, Jerzego Pilcha byli raczej – po staremu – inteligenci. Zwłaszcza ci, którzy akceptowali, a przynajmniej pogodzili się z nieuchronnością

przemian, przyswajając sobie zarazem mieszczańskie wzorce kulturowe. Przypomnijmy sobie uwagę bohatera Bieńkowskiego. Tym, którzy takiego zwrotu zaakceptować nie potrafili bądź nie mogli, pozostawało jedno – *Przesłanie Pana Cogito*. Pointa najsłynniejszego wiersza Zbigniewa Herberta może być rozumiana jako metonimia tego systemu wartości i tego sposobu myślenia o powinnościach literatury, który dominował w latach osiemdziesiątych. W rezultacie przed pisarzami w latach dziewięćdziesiątych, osobliwie po roku 1996, pojawiły się dwie możliwości – albo afirmacja nowego porządku, albo trwanie przy anachronicznej formule literatury. Nie było tu jednak jakiegoś dramatycznego konfliktu, wręcz przeciwnie – szczególnym powodzeniem mogły się pochwalić takie formuły literackie, które znalazły sposób na połączenie ze sobą rynkowego pryncypium i inteligentkiej tradycji. Wspomnijmy tylko literaturę „małych ojczyzn” czy – z drugiej strony – pisarzy-fantastów, odwołujących się do tradycji romantycznych i narodowych.

Jakkolwiek w latach dziewięćdziesiątych nie zabrakło, zresztą bardzo rozmaitych, projektów innowacyjnych, rychło znalazły się one w defensywie, zepchnięte do obiegu niskonakładowych kwartalników. Pomysł „Krytyki Politycznej” polegał na stworzeniu zupełnie nowej formacji ideowej, otwartej na „sztukę krytyczną”, „literaturę zaangażowaną”, szukającej swoich mistrzów intelektualnych już nie wśród postmodernistów, ale ich następców. Literaturze przypisano funkcję wychowawczą i integrującą. Miała ona również współtworzyć nowy język krytyczny, który byłby odporny na próby przejęcia i zneutralizowania przez późnokapitalistyczny system produkcji kulturowej. Sierakowski zdecydowanie wystąpił przeciwko pisarzom i krytykom, którzy na pierwszy plan wysuwają estetyczne obowiązki, obawiając się ideologicznej jednoznaczności i nie zgadzając na zawłaszczenie swojego pisarstwa przez którąkolwiek ze stron ideowego konfliktu. Negatywnymi bohaterami rozmowy naczelnego „Krytyki Politycznej” z Pawłem Mareckim z „Ha!artu” okazali się Sławomir Shuty, a zwłaszcza Michał Witkowski¹⁷. Komplementy spotkały za to Dorotę



Masłowską i współpracującego z warszawskim czasopiśmie Mariusza Sieniewicza. Spór o to, kto z młodych pisarzy skuteczniej wymyka się pułapkom zastawionym przez „system”, można by potraktować z przymrużeniem oka, tym bardziej że chodziło o spór rodzinny, o przekrzykiwanie się, kto lepiej i skuteczniej realizuje program „literatury zaangażowanej” – warszawska „Krytyka Polityczna” czy krakowski „Ha!art”. Tym bardziej że już niebawem ta rywalizacja została rozstrzygnięta, a kluczowe postaci dla działu literackiego „Ha!artu”, Stokfiszewski i sam Marecki, dołączyły do zespołu Sławomira Sierakowskiego. Warto jednak zwrócić uwagę na argumentację naczelnego „Krytyki Politycznej”. Otóż okazuje się, że *Lubiewo* Michała Witkowskiego, owszem, mogłoby zostać uznane za przykład lewicowej „literatury zaangażowanej”, ale dopiero wtedy, gdyby zostało... uznane i przeczytane w ten sposób:

„To mogła być książka o inności, gdyby sfera publiczna była rzeczywiście wolna, gdyby był w niej lewicowy głos. (...) Ale co się stało? Ta książka w obiegu medialnym stała się ciekawostką, reportażem, egzotyką, dlatego że w tej sferze lewica dalej nie ma mocnego głosu, który by takie książki opowiadał, interpretował w sposób emancypacyjny, a ta książka została zinterpretowana w sposób *de facto* konserwatywny. Przy odczucie współpracy Witkowskiego, którego polityczność brudzi, a camp zdoła.”¹⁸

Stanowisko warte rozważenia. Oczywiście, w samym dziele musi tkwić pewien potencjał, musi ono dopuszczać możliwość takiej interpretacji, na jakiej Sierakowskiemu zależy. Wszelako „literaturą zaangażowaną” czy choćby „książką o inności” żaden utwór nie jest *per se*, lecz dopiero takim się staje w ramach procedur krytycznej obróbki i czytelniczej konkretyzacji. Interpretacja tekstu literackiego jest więc polem bitwy o język. Pozwala ona re-negocjować samo pojęcie literatury, czyniąc omawiany utwór jednocześnie instrumentem takiej redefinicji, jej uzasadnieniem i potwierdzeniem. Pozwala również interpretatorowi uchwycić dla swojego dyskursu pewien przyczółek (umocnić go, rozszerzyć) w przestrzeni publicznej,

tym samym – w większym lub mniejszym stopniu wpłynąć na kształt całej sceny komunikacyjnej. Taki sposób pojmowania aktywności krytycznej można by zestawić z neopragmatyzmem, jakkolwiek wydaje się, że pojęcie użycia, sprowadzające omawiany utwór do roli narzędzia, nie byłoby najwłaściwsze w zajmującym nas kontekście. Chodziłoby tu raczej o **przesunięcie** omawianego obiektu tak, by zakłócić i dokonać repartycji literackiego pola gry, pośrednio zaś – innych sfer debaty publicznej. Przesunięcie tym różni się od użycia, że w tym drugim wypadku cel, dla którego sięgamy po jakieś narzędzie, pozostaje całkowicie zewnętrzny. W rezultacie „użyty” utwór oceniamy pod kątem zewnętrznych kryteriów, pytając jedynie o jego przydatność dla naszych potrzeb. Z takiego punktu widzenia nie ma mowy o autonomii literatury. Przy okazji przesunięcia zarysowują się dużo bardziej skomplikowane relacje, polegające na wzajemnym – i to wielostronnym – zapośredniczeniu. Przesunięcie to kontrolowany (przez interpretatora) proces wprowadzenia w obręb pola literackiego nowej jednostki tak, aby doszło zarówno do wewnętrznych (repartycja), jak i całościowych (redefinicja) zmian tego pola. Jak widać, dla opisu takiego sposobu pojmowania krytyki bardziej odpowiednie byłyby raczej kategorie na przykład Pierre’a Bourdieu niż Richarda Rorty’ego¹⁹.

Aby dokonać operacji przesunięcia, trzeba określić i oznaczyć różnicę pomiędzy omawianym utworem oraz aktualnym charakterem pola literackiego. Innymi słowy, musimy przedstawić dzieło jako **różne** od literatury, jako niepodległe i nieredukowalne do zastanych sposobów jej pojmowania. **Tym samym zaś powracamy do postromantycznego i nowoczesnego pojmowania literatury jako różnej od samej siebie, i dopiero mocą tej właśnie dysfunkcji potwierdzającej swoją autonomię oraz autorytet.** W tym też miejscu szczególnie istotna okaże się tradycja Stanisława Brzozowskiego, który niezwykle mocno wypuklił **dialektyczny** charakter związku między autonomią sztuki oraz jej społecznym oddziaływaniem²⁰.

Świadomość, że projekt „literatury zaangażowanej” musi się opierać na jej autonomii, wyróżnia korzystnie Sierakowskiego oraz „Krytykę Polityczną” w stosunku do redaktorów „Ha!artu”, którzy redagując almanach *Tekstyli* odwoływali się do naiwnej, by nie powiedzieć – prostackiej interpretacji neopragmatyzmu tudzież prac Haydena White’a²¹. Z drugiej strony, pamiętajmy, że dla nieufnego wobec postawy zdystansowanej Sierakowskiego konieczność uwzględnienia aspektu autonomii literatury była pewnym kłopotem. Jak sam opowiada, dopiero lektura *Pawia królowej* przekonała go do innego pojmowania „literatury zaangażowanej” niż traktowanie jej w kategoriach czysto ilustracyjnych: „Między jednym moim tekstem w »Polityce« o literaturze (*Literatura pozorowanej niezgody*) a drugim (o Masłowskiej) trochę zmieniłem zdanie. (...) Zmieniłem swoje zdanie przede wszystkim o tym, jak wyobrażam sobie literaturę krytyczną. To musi być literatura o języku i to musi być



literatura językowa, nie ma sensu czekanie na nową *Lalkę* czy *Przedwiośnie*. Tak jak system zmienił swoją logikę, tak też literatura zaangażowana musi ją zmienić.²²

Nieco złośliwie można byłoby powiedzieć, że oto jesteśmy świadkami wtórego przełomu antypozytywistycznego, jaki znamionuje przejście od literatury tendencyjnej do literatury nowoczesnej, owszem, zaangażowanej, ale dzięki swoim zainteresowaniom socjolingwistycznym i metaliterackim. Czy warto zatem wyważać drzwi, które co najmniej przed stu laty szeroko otworzyli moderniści?

Jeśli warto, to choćby dlatego, że przez sto lat dokonały się pewne zmiany. Choćby w obrębie społeczno-kulturowego systemu, który pogodził się i zaakceptował autonomię literatury, wyodrębniając dla niej osobną przestrzeń w sferze komunikacji publicznej. Taka wydzielona strefa może się po trosze kojarzyć z rezerwatowym istnieniem życia literackiego w popaździernikowych realiach Polski Ludowej, tyle tylko, że sposobem na przekroczenie granic „rezerwatu” tym razem nie będzie już podjęcie „tematów aktywnych”²³, lecz przeniesienie refleksji na metapoziom, analiza systemowych reguł, określających podział przestrzeni publicznej oraz status literatury w jej obrębie. To zaś wymaga przede wszystkim zdobycia koniecznego dystansu, pozwalającego „wyosobnić”, wyodrębnić się z systemu, wyznaczyć różnicę po to, by system poddać analizie. Okazuje się tedy, że najważniejszą zdobyczą *Pawia królowej* nie jest wcale zaangażowanie, lecz... dystans. Píše Sierakowski: „Wszystkie te zabiegi literackie [Masłowskiej – przyp. K.U.] służą zatem zbudowaniu **dystansu** do języka, pokazaniu jego skonwencjonalizowania i niekomunikatywności”²⁴.

Swoją lekturę drugiej powieści Masłowskiej redaktor naczelny „Krytyki Politycznej” przeciwstawił temu, jak *Paw królowej* i jego autorka funkcjonują w masowych mediach, gdzie literatura bywa zredukowana wyłącznie do rozrywki, pisarkę zaś przedstawia się jak innych celebrytów współczesnej kultury masowej. Warto więc porównać recenzję Sierakowskiego z tym ujęciem powieści, jakie zaproponowały niszowe czasopisma literackie. Ryszard Koziołek w „FA-arcie” pisał o *Pawiu królowej* z entuzjazmem nie mniejszym niż Sierakowski, dostrzegał też niebezpieczeństwo „niesprawiedliwej redukcji złożoności powieści”²⁵ dokonywanej przez masowe media. Różnica polegała na tym, że Koziołek chwalił powieść Masłowskiej właśnie z powodu jej złożoności, nie zaś – opowiedzenia się po stronie takiej lub innej idei: „nic tu [w powieści – dop. K.U.] nie jest dosłowne, ale wymieszane tak, aby twarde i jednoznaczne sensy nicowały się wzajemnie”²⁶. Volapük, jakim posługują się bohaterowie powieści (na czele z nadrzędną opowiadaczką, reprezentującą samą autorkę), kwestionuje prawomocność dyskursów uprzywilejowanych w przestrzeni publicznej, odbiera im transparentność, wydobywa interesowność. Wszelako z punktu widzenia Sierakowskiego afirmacja złożoności i niejednoznaczności oznaczałaby zgodę na zamknięcie literatury w przestrzeni wydzielonej. Zapewnia to wprawdzie literaturze względną niezależność, ale też oznacza jej zupełną pacyfikację, odbierając możliwość oddziaływania poza polem literackości. Redaktor naczelny „Krytyki Politycznej” uznałby zatem recenzję Koziołka za świadectwo „konserwatyzmu”, za taką wypowiedź, która podtrzymuje systemowe reguły. Uwewnętrzniając te reguły, Koziołek – przy pozorach troski o autonomię – w gruncie rzeczy godziłby się na marginalizację literatury, przy okazji zsyłając na margines również samego siebie, by pocieszać się rolą strażnika „czystości” oraz inności literatury.

Pamiętajmy jednak, że afirmacja złożoności nie musi wcale (i nie powinna) oznaczać jej absolutyzacji. Ta ostatnia, istotnie, mogłaby zostać poczytana jako zgoda na „rezerwatowy” jedynie byt literatury i sztuki. Wszelako autonomia nie sprowadza się do pielęgnowania własnej osobności oraz korzystania z wynikających stąd przywilejów (np. literatura jako instytucja, w ramach której można powiedzieć wszystko na każdy możliwy sposób). Autonomia literatury wiąże się z wysiłkami mającymi na celu zdobycie prawa do zaznaczania i przemieszczania różnicy względem samej siebie. Chodzi o „różnicę wewnętrzną” czy też „krytyczną”, o heterogeniczność czy też podwójną pozycję dzieła literackiego, które będąc jednostką wprowadzaną dopiero (przez czytelnika-interpretatora) na właściwe sobie pole, sytuuje się zarazem wewnątrz i na zewnątrz literackości, wewnątrz i na zewnątrz swojej własnej istoty, aż po prawo do samozakwestionowania i do zniesienia tej istoty. Autonomia nie polega więc na wygrywaniu korzyści, jakie wynikają stąd, że tekst literacki plasuje się w osobnym, wydzielonym polu dyskursywnym, gdzie zawieszone byłyby obowiązujące na zewnątrz ograniczenia. Skoro bowiem autonomię wiążemy z repartycją oraz redefiniowaniem tego pola, to musi się ona wiązać w pierwszej kolejności z zadaniem wytworzenia krytycznego dystansu wobec literackości oraz wobec swoich własnych reguł. A skoro stało się tak, że szczególną złożoność i niejednoznaczność już policzyliśmy do rzędu zasad określających literaturę nowoczesną, to autonomia literatury nie zostanie potwierdzona wtedy, kiedy te cechy „po prostu” zrealizujemy, ale dopiero wówczas, gdy zapytamy o systemowe metareguły, decydujące o takim, a nie innym sposobie pojmowania i funkcjonowania tekstów nazywanych przez nas literackimi.

Skoro tak, to złożoność, heterogeniczność i niejednoznaczność należy traktować nie tyle jako składniki lub nieredukowalne właściwości dzieła literackiego, lecz jako właściwy **cel** (stawkę) gry w literaturę (oraz o literaturę). Także i „zaangażowanie” może służyć dążeniom do ekstrapolacji, redefinicji, zmiany systemowych reguł, określających pole literatury. Wszelako nie stanie się tak wtedy, gdy będziemy redukować złożoność, ale wówczas, gdy wykorzystamy literaturę do zakwestionowania reguł określających relacje pomiędzy nią oraz jej „zewnętrzem”. W kulturze literackiej doby nowoczesności taką rolę odgrywała dialektyka ekskluzywności oraz inkluzywności, włączania elementów innorodnych w obręb literatury, a jednocześnie jej wyodrębniania z pola komunikacji publicznej. Literatura nowoczesna odnosiła się do swojego „zewnętrza” (którym, przypominam, mogła być również jej „istota”), aby wyznaczyć bądź przemieścić własne granice. Współcześnie problemem nie jest już jednak odrębność literatury jako taka, lecz **bezproblemowość** tej odrębności. Rozwiązanie nie polega jednak na tym, aby w imię „zaangażowania” zlikwidować tę odrębność, traktując literaturę jak gdyby była czymś zupełnie innym, ale by bezpośrednio i pośrednio (za pomocą odpowiedniej poetyki) przedstawić tę bezproblemowość jako problem współczesnej kultury i współczesnego społeczeństwa. Nie wystarczy zatem powiedzieć, że Dorota Masłowska w *Pawiu królowej* ukazała, jak bardzo skonwencjonalizowany i niekomunikatywny jest współczesny nam dyskurs publiczny. Z drugiej strony, nie wystarczy się też cieszyć z niejednoznaczności (niekomunikatywności) samego *Pawia*... Z perspektywy doświadczeń literatury nowoczesnej jedno i drugie jest przecież najzwyczajszym banałem. Trzeba by spytać, czy Dorota Masłowska postawiła kwestię wyparcia i zbanalizowania się takich diagnoz, czy tłumaczy, dlaczego

literatura nowoczesna okazała się bezsilna w starciu z kulturą masową? I najważniejsze: jak wyznacza różnicę między swoją książką a nowoczesnym pojmowaniem literackości, aby sama nie okazać się bezsilną?

Sławomir Sierakowski bywa raczej okazjonalnym i dość przypadkowym krytykiem literackim. Identyfikowany z tą rolą, szybko się od niej odzegnał, zauważając, że jest w nią wmanewrowywany, a tym samym – wykluczany z innych (ważniejszych?) obszarów debaty publicznej²⁷. Ale choć zaproponowany przez niego sposób pojmowania aktywności krytycznej nie został konsekwentnie przemyślany, choć co i rusz natknijemy się tutaj na rażące symplifikacje, to jednak jestem jak najdalej od tego, by go lekceważyć. Wszelako sędzę też, że postulat „zaangażowania” wymaga na początek od pisarzy i krytyków jednego – autorefleksyjnego i metarefleksyjnego zaangażowania się w sprawy samej literatury. To przecież jedyny sposób, by rzetelnie się zmierzyć z dziedzictwem Brzozowskiego i całego modernizmu.

PRZYPISY

1. D. Gawin: *Inteligentkie obrachunki epoki transformacji*. „Krytyka Polityczna”, nr 1 [lato 2002], s. 96.
2. Zob. tegoż: *Druga zdrada klerków*. „Życie” z dn. 23 listopada 1998. Przypomnijmy, że Gawin, czego nie omieszkało mu wytknąć, operował specyficznie rozumianym pojęciem klerkizmu.
3. Zob. D. Ost: *Kłęska „Solidarności”. Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*. Przeł. H. Jankowska. Warszawa 2007. Ost, podobnie jak Gawin, koncentruje się przede wszystkim na opisie „zdrady” lewicowych liberalistów skupionych wokół Unii Demokratycznej i „Gazety Wyborczej”, tyle że w jego książce porzuconymi przez symboliczną i polityczną elitę okazali się nie tyle pracownicy budżetówki, co robotnicy wielkoprzemysłowi, którzy w konsekwencji wydani zostali na polityczny łup prawicowych populistów.
4. D. Gawin: *Inteligentkie obrachunki*, dz. cyt., s. 97.
5. A. Bielik-Robson: „Obrona kołtuna”? „Krytyka Polityczna”, nr 1 [lato 2002], s. 90.
6. D. Bienkowski: *Nic*. Warszawa 2005, s. 41.
7. Zob. S. Sierakowski: *Polska od Nietzschego?* „Krytyka Polityczna” [nr 6, 2004]. Zob. także „Gazeta Wyborcza” z dn. 10-11 lipca 2004 (nr 160).
8. A. Walicki w rozmowie z „Krytyką Polityczną”: *Spółeczeństwo bez mózgu i sumienia?* „Krytyka Polityczna”, nr 1 [lato 2002], s. 63.
9. Tamże, s. 62.
10. Tamże, s. 65.
11. S. Sierakowski: *Pogrzebani żywcem. Czy inteligencja polska nadal jest lewicowa?* „Europa” 2007, nr 49. Dod. do „Dziennik” z dn. 8-9 grudnia 2007.
12. Tamże.
13. Tamże.
14. Walicki w rozmowie z „Krytyką Polityczną”: *Spółeczeństwo...*, dz. cyt., s. 65.
15. Zob. S. Sierakowski: *Powrót zbawionego heretyka*. W: S. Brzozowski: *Płomienie*. Wstęp S. Sierakowski. Warszawa 2008.
16. Wcześniej wydawcą warszawskiego kwartalnika była Fundacja Inicjatyw Międzynarodowych.
17. Zob. *System przeznaczył dla literatury rolę rozrywki*. Rozmowa z S. Sierakowskim o „Krytyce Politycznej”. W: P. Marecki: *Pospolite ruszenie. Czasopisma kulturalno-literackie w Polsce po 1989 roku*. Kraków 2005. Z powodu „artystowskiej pozy” dość pryncypialną krytykę *Lubiewa* podjął na łamach „Krytyki Politycznej” Błażej Warkocki: *Do przerwy 1:1*. „Krytyka Polityczna”, nr 9-10 [jesień 2005].
18. *System przeznaczył...*, dz. cyt., s. 361-362.
19. Warto też wspomnieć o pochodzących z połowy lat siedemdziesiątych dwóch krótkich szkicach Jana Prokopa. W swoim czasie mogły one być traktowane jako intelektualna prowokacja, ale z dzisiejszej perspektywy można w nich znaleźć sporo inspiracji. Zob. J. Prokop: *Krytyka jako nierozumienie dzieła*. W zbiorze: *Badania nad krytyką literacką*. Pod red. J. Sławińskiego. Wrocław 1974; tegoż: *Krytyk jako stwórca*. „Teksty” 1976, nr 4-5.
20. Jak wiadomo, w ujęciu „wczesnego” Brzozowskiego sztuka partycypuje w procesie społecznej emancypacji, w dążeniu do upowszechnienia „prawa własnego stanowienia o sobie, o własnym dobrze i źle” (S. Brzozowski: *Wczesne prace krytyczne*. Wstęp A. Mencwel. Warszawa 1988, s. 64). Rzecz bowiem w tym, że „daje się pomyśleć społeczeństwo oparte na indywidualizmie bezwzględny, społeczeństwo, w którym każdy może mieć własne i odmienne od innych pojęcie o źle i dobrze, własną wiarę i własną sztukę” (tamże, s. 83). Jednocześnie Brzozowski przeciwstawiał sztukę beletrystyce oraz literaturze, podkreślając, że „sztuka musi być najpierw dla siebie, bo wtedy dopiero jest, a dopiero gdy jest, można mówić o dalszych jej działaniach” (tamże, s. 386).
21. Taka „podstawa teoretyczna” została podtrzymana przez Mareckiego i Stokfiszewskiego jeszcze w swoistym postscriptum do *Tekstyliów*, które zresztą opublikowano na łamach „Krytyki Politycznej”. Zob. P. Marecki, I. Stokfiszewski: *Antologia kłamstw, czyli wszystko o „Tekstyliach”*. „Krytyka Polityczna” [nr 6, 2004]. Wydaje się, że dopiero bliższa współpraca z pismem Sierakowskiego wpłynęła na korektę stanowiska obu autorów.
22. *System przeznaczył...*, dz. cyt., s. 363-364.
23. Opozycją „tematów aktywnych” oraz „tematów neutralnych” posłużył się Edward Balcerzan, opisując sytuację polskiej prozy po roku 1956. Zob. E. Balcerzan: *Przygoda druga: żywioły prozy w PRL*. W: tegoż: *Przygody człowieka książkowego (ogólne i szczególne)*. Warszawa 1990. Próba podjęcia „tematów aktywnych” obecnie będzie już strategią nieskuteczną, skoro – jak zauważyła Kinga Dunin – „dziś główny meta-przekaz ze strony dyskursu dominującego brzmi: wszystko wolno, możemy o wszystkim dyskutować” (K. Dunin: *Normalka*. „Kurier Czytelniczy – Megaron”, nr 65, maj 2000).
24. S. Sierakowski: *Połknąć język i puścić pawia*. „Polityka” 2005, nr 23 (podkreśl. K.U.).
25. R. Koziołek: *Afirmatywne wymioty*. „FA-art” 2005, nr 1, s. 57.
26. Tamże, s. 56.
27. „– Jak reagujesz kiedy nazywa się Ciebie krytykiem literackim? / – (...) Traktuję to raczej jako wyraz zjawiska, o którym ci już mówiłem: podzielenia kulturowego doświadczenia na odgraniczone od siebie sztukę, naukę i politykę” (*System przeznaczył...*, dz. cyt., s. 365-366).